Nr. 9 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, wrzesień 1927 | Rok XLVIII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI **W wrześniu wolno polować** na wszelką zwierzynę łowną, prócz zajęcy.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

TREŚĆ:

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

Wśród spraw objętych sprawozdaniem z czynności Wydziału Towarzystwa za czas od 17. maja 1908 do 15. maja 1909, nad któremi 4 czerwca 1909 r. XIII Zjazd łowiecki obradował, domagają się zapisania tu prócz wyżej już przytoczonych także następujące:

W okresie tym Sejm krajowy uchwalił ostatecznie nową ustawę łowiecką, która sankcję cesarską otrzymała dnia 13. lipca 1909 roku.

Przy tej sposobności ciśnie się pod pióro pytanie, dlaczego ten austrjacki zlepek przepisów polityczno-kompromisowych, rozwojowi łowiectwa mocno niesprzyjających, do chwili obecnej jest w Małopolsce obowiązujący?...

Bardzo dodatnio na podniesienie zwierzostanu naszego kraju wpłynęło w tym czasie nawiązanie przez nasz Wydział ściślejszych stosunków z Towarzystwem ochrony zwierząt we Lwowie.

Zważywszy, że „Miesięcznik" tego Towarzystwa gorliwie wszczepia w barbarzyńskie serca mas nieuświadomionych uczucie litości dla wszelkiego stworzenia — postanowiono w tym bratnim nam organie zamieszczać artykuły, zwalczające kłusownictwo, wnykarstwo, nielegalny handel zwierzyną, niszczenie gniazd, wybieranie z nich jaj, piskląt, tudzież wyłapywanie zajączków.

Ponieważ do uchylania tego zła, najskuteczniej przyczyniać się mogą zarządy gminne i szkoły wiejskie, do nich więc zwrócono się z gorącem wezwaniem, aby nad tem czuwały i staranną opieką otaczały światek zwierzęcy. W „Łowcu" zaś wydano odezwę do myśliwych, aby w dobrze zrozumianym interesie własnym, „Miesięcznik" ten prenumerowali i dostarczali go urzędom gminnym i szkołom powszechnym.

W ten sposób postępując, można corocznie uratować od zmarnotrawienia liczne tysiące kaczek, bekasów, kuropatw, bażantów i zajęcy, a tem samem przysporzyć myśliwym przyjemności gęstszego niż dotychczas strzelania oraz obfitszego zdobywania żywności.

Z tej przeto racji Towarzystwo nasze wpisało się do Tow. ochrony zwierząt w charakterze członka, mianując zastępcami swymi wiceprezesa S. Krogulskiego i redaktora Alberta Mniszka.

Postarano się również, aby pisma codzienne i perjodyczne na czele swych kronik zamieszczały kalendarz myśliwski, a to celem uświadamiania publiczności o przepisach prawnych, dotyczących zakazu kupowania zwierzyny w terminach jej ochrony.

Przystąpiono również do Państwowego Związku łowieckiego w Wiedniu, którego zadaniem była wielka organizacja myśliwych w celu popierania zjednoczonemi siłami kultury łowieckiej. Delegatami do tego Związku mianowano St. hr. Stadnickiego, Witolda Korytowskiego, ks. Andrzeja Lubomirskiego i Antoniego hr. Wodzickiego.

W przemówieniu swem na Walnem Zgromadzeniu prezes hr. Stadnicki zaznacza z przykrością, że działalność delegatów Towarzystwa mocno niedomaga. „Jeżeli — mówi prezes — ustęp w sprawozdaniu z czynności Wydziału, dotyczący delegatów był cierpki, to nie można mu niestety zarzucić zbyt pesymizmu, bo delegaci — po największej części — są zupełnie nieczynni i na sprawy łowieckie apatyczni."

Stwierdziwszy następnie z zadowoleniem, że rachunki funduszu Towarzystwa, mimo zwiększonego kosztu o 480 kor. na broszurowanie „Łowca", zamknięto za r. 1908 zapasem kasowym w kwocie 6.620 K, co jest wielką zasługą... — poświęca prezes słowa wspomnienia dwu zmarłym ostatnio członkom Towarzystwa, mianowicie śp. Adamowi Łastowieckiemu i A. br. Horochowi.

Nad sprawozdaniem z czynności Wydziału zabiera głos delegat Kazimierz Wysocki i zapytuje prezydjum, co się dzieje z wnioskiem postawionym przezeń w roku 1905, w przedmiocie plombowania zwierzyny. Odpowiada wiceprezes Krogulski, że Wydział w tym samym roku, wniósł w tej sprawie, memorjał do Namiestnictwa, które jednak mimo starań Wydziału, dotąd go nie załatwiło.

Na wniosek interpelanta uchwalono wysłać deputację do namiestnika z prośbą o rychłe i przychylne załatwienie tej ważnej dla łowiectwa petycji.

Wiceprezes Komitetu ściślejszego dla obesłania trofeami myśliwskiemi naszego kraju międzynarodowej wystawy łowieckiej w Wiedniu, A. J. hr. Bielski, wygłasza obszerny referat o dalszych wynikach tej akcji.*)

Przy punkcie ostatnim porządku dziennego, członkowie Teofil Gordaszewski i dr. Alfred Sander zabierają głos w sprawie potrzeby reorganizacji Galic. Tow. Łowieckiego i jego delegatów.

Wniosek I. T. Gordaszewskiego brzmi:

„Walne Zgromadzenie poleca Wydziałowi zmianę regulaminu delegatów przez dodanie dwu paragrafów:

a) Delegaci bezwarunkowo obowiązani są, przynajmniej raz w rok, po zamknięciu wszystkich sezonów polowań nadesłać wyczerpujące sprawozdanie z gospodarki łowieckiej w swoim okręgu".

b) „Zobowiązać delegatów do terminowego zorganizowania się".

Wniosek II-gi. „Walne Zgromadzenie poleca deputacji do namiestnika o polecenie zarządom lasów państwowych dawania kopji rocznych sprawozdań Galic. Towarzystwu Łowieckiemu".

III-ci. „Walne Zgromadzenie poleca Wydziałowi zająć się sprawą działu sprawozdań i artykułów czasopism obcych, przez odezwę do członków, celem podziału pracy i wprowadzeniu odnośnej rubryki w „Łowcu"."

O wiele dalej idący wniosek postawiony przez dra Sandera, uzasadniony przezeń dłuższem przemówieniem i poparty przez dr. T. Goreckiego, opiewa:

*) Rzecz poprzednio już w całości tu omówiona.

„Walne Zgromadzenie poleca Wydziałowi, by na najbliższych swych posiedzeniach zastanowił się nad sprawą konieczności reorganizacji Towarzystwa, a to tak w kierunku zbadania, czy zachodzą warunki przemiany Towarzystwa w Izbę myśliwską, o charakterze przymusowym, jak również w kierunku zastąpienia dzisiejszej instytucji delegatów, przez utworzenie powiatowych oddziałów Gal. Tow. Łowieckiego i wybieranych przez te oddziały Wydziałów powiatowych, oraz, aby wynik owych badań, względnie projekt nowego statutu, przedłożył Nadzwyczajnemu Walnemu Zgromadzeniu, najdalej do jesieni.“

Ponieważ znakomicie opracowanego projektu dr. Sandera, wygłoszonego przez autora na Walnem Zgromadzeniu — znikoma tylko liczba członków wysłuchała, uchwalono przeto w całości wydrukować go w „Łowcu“. Uczyniono to w numerze 13-tym ex 1909; przyczem wezwano ogół członków do wypowiedzenia swych zapatrywań na zamiar tak gruntownej reformy dotychczasowego ustroju naszego Towarzystwa, aby na podstawie opinji ogółu mógł Wydział przystąpić do załatwienia wielkiej wagi postulatu dr. Sandera.

Wkońcu wiceprezes klubu hodowli i tresury psów myśliwskich A. Mniszek, zdawszy sprawę z działalności tego klubu, oświadcza, że przygotowuje popisy polowe psów myśliwskich jesienią b. r.

Na tem porządek dzienny wyczerpano, a prezes zamknął posiedzenie.

Na wniosek delegata Kaźmierza Wysockiego wszyscy obecni przez aplauz i powstanie z miejsc, podziękowali prezesowi za prowadzenie obrad.

Zawody strzeleckie odbyły się dnia następnego t. j. 5 czerwca, i mimo kabalistycznej liczby, XIII-ty ten Zjazd — na złość przesądnym, skończył się bez żadnego wypadku.

Z programu zeszłorocznego usunął Komitet strzelanie śrutowe do zajęcy, natomiast wprowadził strzelanie przez lunetę do tarcz stałych na 300 kroków.

Do popisu stanęło 129-ciu zawodników.

Nagrody pierwsze zdobyli: Marjan Hamerski, Henryk Prek, por. Lenz, Edward Münter, Juljusz hr. Bielski — w strzelaniu przez lunetę — i dwie Roman Winiarz.

Piękną premję komenderującego X korpusu, któr Komitet miał prawo przyznać najzasłużeńszemu z pośród nienagrodzonych, wręczył jenerał Tappainer dzielnej amazonce Emilji Jędrzejowiczowej, za zdobycie czwartego miejsca w strzelaniu przez lunetę.

Dowodem, że luneta bynajmniej nie czyni ze sztućca maszyny do niezawodnego zabijania zwierza, jak chcą tego niektórzy, mimo bowiem doskonałych strzelców i dowolnego oparcia broni — tarcza nie wykazała zbyt znacznej ilości pocisków śmiertelnych. C. d. n.

ALBERT MNISZEK

WYSTAWA ŁOWIECKA

Dokończenie

Opisać szczegółowo wystawy naszej w „Łowcu“ jest rzeczą niepodobną. Trzebaby na tę pracę 12 numerów czasopisma. Możemy tutaj ograniczać się do opisu najwięcej wartościowych okazów.

Najwięcej jednak miejsca poświęcamy działowi trofeów temu, który jest naszą chlubą i łowiecką dumą: wieńcom jeleni.

Nie wiem, czy jakakolwiek inna wystawa łowiecka mogła się kiedy poszczycić takim zbiorem wieńców jeleni górskich pod względem liczby, a jeszcze więcej pod względem jakości.

156 wieńców jeleni — i jakich!

Sędziowie w niemałym byli kłopocie i trudności, by wybrać z tej masy najlepsze, a z tych jeszcze wybrać najpiękniejsze, do dekoracji nagrodami.

Po ciężkiej zaiste pracy pomiarów, wybrano do walki o najwyższą nagrodę cztery najpotężniejsze, mniej więcej równorzędne wieńce jeleni karpackich: Aleksandra Berwida 16-tak z Wełdzirza, Juljusza hr Bielskiego 14-tak z Worochty, H. br. Groedla 16-tak ze Skolego i 18-tak Adama hr. Zamoyskiego*) z Sołotwiny Mizuńskiej.

Temu ostatniemu przyznało Jury najwyższą nagrodę i medal złoty, pozostałe trzy otrzymały medale złote.

Jak przeprowadzane i podane przy zdjęciach pomiary wykazują, wieniec ten nie był najpotężniejszym na wystawie. Bije jednak inne rozłożystością pni, a przedewszystkiem pięknością i skończenie klasyczną formą. Mimo wielkiej pojemności swej masy kostnej, wieniec ten nie czyni tego potężnego wrażenia widoku czegoś pierwotnego, jakie odczuwamy, patrząc na wieńce Bielskiego, Berwida i Groedlów. Piękność zewnętrzna tego wieńca idzie na niekorzyść jego masy, wpłynęła też na niekorzyść innych wieńców w werdykcie sędziów.

W wieńcu Zamoyskiego, piękno przygłusza potęgę tchnienia pierwotności karpackiej puszczy. I zaprawdę żaden złotnik-artysta niewykonał jeszcze nigdy dla monarchy tak pięknej i rzeźbionej korony, jak ten hebanowy, o śnieżnej białości na swych końcach perłach diadem, który Przyroda włożyła na głowę imperatora puszczy.

Mimo pewnych różnic w ukształtowaniu się obu pni, gdyż jeleń ten nieregularnym jest 18-takiem, wieniec tworzy piękną i harmonijną całość, a strzeliste korony świadczą, że zwierz ten padł w pełni sił żywotnych i radosnej potęgi życia.

Trudno dla braku miejsca opisywać dokładnie pozostałe trzy, złotemi medalami nagrodzone, wieńce.

Najmniej pięknym, ale najpotężniejszym jest skolski 16-tak br. Groedla, najpiękniejszym i bezwzględnie najwięcej „karpackim“ jest 14-tak (względnie niereg. 16-tak) olśniewający potęgą koron, Juljusza hr. Bielskiego, ubity w Worochcie. Aleksandra Berwida niereg. 14-tak z Wełdzirza jest uosobieniem potęgi, jest prajeleniem karpackim i ze swoimi trzema towarzyszami równorzędne zajmuje stanowisko.

Następuje teraz pięć wieńców srebrnemi medalami nagrodzonych.

Są to wszystko wieńce pierwszorzędne. Szlachetnością formy i potęgą pni wybija się z nich może najwięcej wełdziski 16-tak Romana hr. Potockiego, „lasem odnóg“ 22-ak Zlamala z Wełdzirza.

A cóż mówić o innych nagrodzonych i nienagrodzonych wieńcach! Jest ich jeszcze więcej setki! Są to przeważnie perły karpackie pierwszej wody! Dwa inne jeszcze wieńce Berwida, Lenartowicza, prof. Sołowija, Henryka Preka, hr. Bielskiego, Marcinkowa, br. Goetza-Okocimskiego, Edwarda Müntera, Eustachego, Tadeusza i Włodzimierza, Barańskich, Pawła ks. Sapiehy, Zdzisława hr. Tarnowskiego i wiele, wiele innych, które tworzą razem przepotężny zbiór trofeów karpackich, są wyrazem wartości polskiego łowiectwa, jego dumą i chlubą.

Słusznie Jury przyznało dr. Zlamalowi złoty medal za kolekcję zrzutów jeleni wełdziskich. Kolekcja ta, jakiej może niema drugiej w Europie (zważywszy na trudny teren wysokich Karpat), jest wymownem świadectwem wysokiej kultury i gospodarki łowieckiej na terenach pieczy wystawcy powierzonych.

Szczególne zainteresowanie wzbudzają cztery pary zrzutów tego samego jelenia rok po roku. Widzimy w nich różnice w grubości wieńców i liczby odnóg nie rosnącej z latami w górę, lecz w miarę warunków atmosferycznycb danego roku i związanej z niemi jakości i obfitości karmy, lecz widzimy też dokładnie tę samą formę, którą cechuje też zawsze ta sama wielka rozłożystość. Jestto wymowna wskazówka dla hodowcy, że jelenie przekazują formę wieńców potomstwu i że byki o wybitnie szlachetnych porożach należy jaknadłużej ochraniać w roli reproduktorów.

Wspaniały zbiór wieńców jeleni nizinnych z Dzikowa widzimy w grupie Zdzisława hr. Tarnowskiego. Wspaniałym jest jego 14-tak ubity w r. 1914 już podczas wojny światowej, w Dzikowie. Typowy to wieniec nizinny — krótki, wąski o krótkich odnogach, ale przepiękny i grubością pni i róż bijący najlepsze wieńce karpackie.

Inne wieńce w tym zbiorze mają typ inny, raczej górski i jest między niemi kilka mogących z karpackiemi śmiało rywalizować.

Oprócz grupy wieńców nizinnych z Dzikowa, jeden jeszcze jedyny wieniec taki widzimy na wystawie. Jest nim 22 końcowy piękny wieniec jelenia ubitego w Węgrzynowicach w Piotrkowskiem, wystawiony przez Stanisława Lilpopa i nagrodzony medalem srebrnym.

Żałować bardzo należy, że potężny mocarz puszcz naszych kresowych, łoś, tak słabo na wystawie był reprezentowany. Wszelkie i usilne zabiegi Komitetu wystawowego przedsiębrane, by trofea te dla wystawy pozyskać, nie odniosły skutku. Oprócz Muzeum im. Dzieduszyckich, które wystawiło 10 łopat łosich od szpi-

*) Jury przyjęło w klasyfikacji wieńców według ilości odnóg metodę niemiecką, według której brakujących często odnóg nadocznych się nie liczy.

czaka w górę jako obraz rozwoju korony, widzimy na wystawie jeszcze tylko łeb łosia o 28 końcowych łopatach, ubity przez Wład. hr. Tyszkiewicza w Grodzieńskiem, łopaty 14-taka St. Lilpopa z puszczy Berezowskiej na Polesiu i 2 pary Dra Stanisława Zaborowskiego, również z Polesia. Łoś Tyszklewicza to wspaniały okaz o olbrzymich łopatach. Na każdej z nich dorosły mężczyzna wygodnie, jakby w fotelu mógłby zasiąść.

Ten wspaniały zwierz Gedyminów, najgrubszy chyba okaz w swoim rodzaju, jaki poleskie zbiory posiadają, był ozdobą i jedną z najwspanialszych atrakcyj na naszej wystawie. Jury przyznało mu medal złoty, łopatom Lilpopa medal srebrny.

Przepysznym i licznym niezwykle był zbiór rożków sarnich na wystawie. Bogato rozsypały się po salach wspaniałe klejnoty naszych lasów i pól.

natomiast może być tylko 6-tak. Ponieważ jednak rogacz ten nie utracił, osadziwszy 10 odnóg, nic ze swej zasadniczej formy i posiada piękny kształt, Jury uznała go za regularnego i nagrodziła złotym medalem. Miara wykazała u niego wysokości 29·5, rozpiętości 22¹/₄, obwodu róż 14·5, grubość pni 9·5 cm.

Kapitalnemi są jeszcze trzy inne rogacze Kiszakiewicza (Łysowa, Łopusznik i Bachórz), Stanisława Kumora z Turzy i Władysława Garapicha z Gumnisk, wszystkie srebrnemi oznaczone medalami.

Cztery rogacze też kapitalne, a to dwa mrgr. Wielopolskiego z Chrobrza, Włodz Barańskiego z Łukawicy, Henryka Preka z Podmichala i Andrzeja ks. Lubomirskiego z Białoboków, otrzymały medale bronzowe.

W grupie nieregularnych widzimy olbrzymiego 6-taka z dwiema długiemi przyrostami około prawego



Adam hr. Zamoyski: 18-ak z Sołotwiny mizuń. ubity przez hr. Żółtowskiego. Najwyższa nagroda i medal złoty. — Wysokość: 105·5 cm, rozłożystość 124 cm, obwód róż po 23 cm, grubość pni po 16 cm



H. br. Groedel: 16-ak ze Skolego. — Wysokość 120 i 124 cm, rozłożystość 118 cm, obwód róż po 26 cm, pni po 17·25 cm. — Medal złoty.



Juljusz hr. Bielski: Medal złoty. 14-ak z Worochty. Wysokośc przeciętna 117·5 cm, rozłożystość 99 cm, obwód róż po 25 cm, pni 17·5 cm.

Prym tu wiedzie słynny rogacz z Niedowej, Stan. hr. Mycielskiego. Dumny rekordem światowym uzyskanym na wystawie łowieckiej w Wiedniu, okazuje się poza konkursem. Tak samo w ostatnich dniach wystawy, już po przeprowadzeniu i dokończeniu prac Jury, poza konkursem okazuje się wspaniały rogacz Hermana Knothego, ubity w 1912 r. w ziemi radomskiej.

Nagrodzone złotemi medalami rogacze Konrada Małaczyńskiego z Brzeżan — i Leona Kiszakiewicza z Iskania, walczą o palmę pierwszeństwa. Pomiary ich dają imponujące cyfry. Pierwszy, wysokości 27·5, rozłożysty 14, obwód róż 18·5, grubości pni 10·5 cm, drugi wysokości 28¹/₄, rozłożysty 12·5, obwód róż 18·5, grubości pni 10 cm. Są to regularne o pięknej formie i uperleniu 6-taki. Drugi, złotym medalem nagrodzony rogacz Kiszakiewicza, pochodzący z Łopusznicy, posiada 10 odnóg i zasadniczo w grupie rożków regularnych nie powinien był być klasyfikowany. W wieńcu jelenim przyroda nie ograniczyła liczby odnóg, rogaczem regularnym pnia, radcy Artura Graetschla (złoty medal), a obok niego wpada w oczy olbrzymi rogacz tego samego wystawcy, 31¹/₄ cm przeciętnej wysokości obu pni.

Zaszczytna wzmianka należy się głowie kozła o potężnych rożkach, znajdującej się w kolekcji łańcuckiej, wspaniałym jest perukarz olbrzymi z lasów Debicy hr. E. Raczyńskiego, łeb rogacza myłkusa z całym krzakiem rozmaitych kształtów i długich pni, wystawiło polskie Towarzystwo łowieckie w Warszawie.

Rozpatrzmy się teraz w dziale dziczym. Czarny borów naszych władca wcale też poczestne na wystawie zajmuje miejsce, przedstawiające się w liczbie 16 łbów i 120 par kłów.

Najpiękniejszym i najpotężniejszym jest łeb odyńca o wielkich kłach i rekordowych wprost fajkach, nagrodzony medalem złotym, Juljusza hr. Bielskiego. Medalem srebrnym oznaczony został odyniec Weycherta o fajkach długich, łączących się prawie ze sobą na wierzchu gwizda. Bronzowy medal otrzymał odyniec St. Jaśkiewicza.

Z olbrzymiej masy kłów królują dwie pary śmiało uznać się mogące za rekordowe: pierwsze dzięki długości, drugie dzięki szerokości. Pierwsze z nich znajdujące się pod szklanym kloszem, wystawione przez Henryka Preka, własność Wład. Rozwadowskiego, pochodzą od odyńca ubitego przez gajowego w 1922 r. w Dołpotowie, w Kałuskiem. Mają one 27 i 26·5 cm długości, 2·9 cm szerokości. Drugie, S. Wałukiewicza, pochodzące z pod Lwowa, mają 24·75 cm długości, 3·20 szerokości. Pierwsze złotym, drugi srebrnym nagrodzono medalem. Srebrny medal otrzymał też hr. Bielski za kły z Rychcic, dł. 23 cm, szer. 2·85 cm, które na wystawie łowieckiej 1910 r. w Wiedniu uznane były za pierwsze i złotym uagrodzone były medalem. Oprócz tych, hr. Bielski zdobył dwa bronzowe medale za dwie pary kłów i Cyryl Czarkowski-Golejewski za jedną parę z Letniej (długość 24 cm, szer. 2·85 cm). Z reszty kłów zasługują na pochlebną wzmiankę, dra Malsburga, Józefa Jabłonowskiego, Edwarda Müntera, Konrada Małaczyńskiego, Jana Zlamala i Stanisława Orskiego.

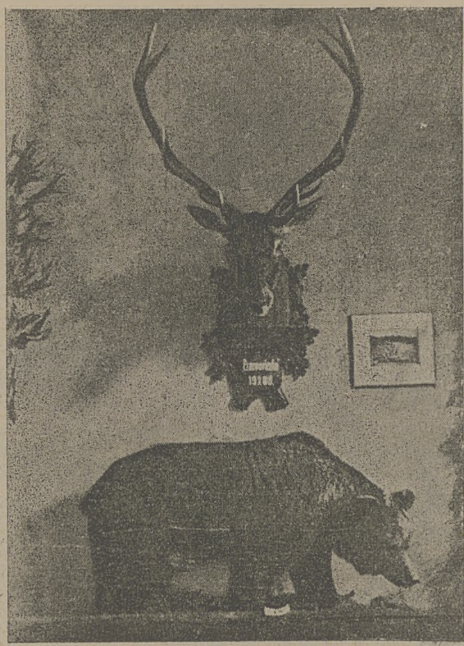


Zdzisław hr. Tarnowski: 14-tak nizinny. — Medal złoty. Wysokość 99 cm, rozłożystość 90 cm, obwód róż po 30·29 cm, grubość pni po 23·5 cm.

Piękna i najbogatsza kolekcja kłów dziczych Józefa Jabłonowskiego, zyskała medal złoty, Ben. hr. Tyszkiewicza medal srebrny, Alberta Mniszka i Jerzego hr. Potockiego medal bronzowy.

O niedźwiedziach i rysiach pisałem już w poprzednim numerze, zaznaczyć tu tylko muszę, że jedynie dobrze i naturalnie spreparowanemi niedźwiedziami (jako całe) były dwa w zbiorze br. Goetza-Okocimskiego, stały na czterych łapach i czyniły naturalne wrażenie. Nie jestto winą preparatora, lecz myśliwego, który chcąc mieć niedźwiedzia jaknajwiększego, każe wypychać zwierza w pozycji stojącej i naciągać mu skórę do najdalszych granic. Ze zwierza robi się karykatura, nie mówiąc już, że przypomina w budzie jarmacznej z kółkiem w nosie tańczącego oswojonego misia. Niedźwiedź bardzo piękny Ludomira Cieńskiego w grupie rozhurecko-łukawickiej został w ten sposób zeszpecony.

Najpiękniejszem i najbardziej myśliwskiem, a zarazem najtrwalszem trofeum jest skóra zwierza z spreparowanym łbem.



Ze zbiorów br. Götz-Okocimskich

Wspomnieć też warto i o drugim kocie naszym żbiku. Wystawiono ich ośm, Po największej części spreparowane były dobrze. Największym okazem była stara kotka z Turzy Wielkiej Alberta Mniszka, przedniemi też okazy w grupach Hier. hr. Tarnowskiego, St. Kumora i Skolego. Andrzej jakubowicz wystawił piękną i wielką skórę z spreparowaną głową,

Należy się wreszcie wzmianka kolekcji orłów w grupie skolskiej tem bardziej interesująca, że wszystkie zostały schwytane na żelaza zastawiane na wilki.

Głuszce słabo reprezentowane. Zwracały uwagę dwa białe cietrzewie prof. Wacka i St. Bilińskiego.



O wystawie psów we Lwowie

W ramach I Og. Wystawy Sportowej we Lwowie urządzono też wystawę psów rasowych.

Jak wystawę łowiecką mogło urządzić tylko M.T Ł., tak jedynym kompetentnym organem do urządzenia tej wystawy, byłby Związek miłośników psów, istniejący we Lwowie. Jestto niestety ciało zamierające, dzięki bierności nietylko społeczeństwa naszego, ale nawet prezesa tej organizacji i większej części Wydziału. Polski Związek hodowców psów rasowych w Warszawie jakoby więc centrala kinologiczna w Państwie, zachował się też wobec tej imprezy zupełnie biernie, a wszelkie pisma Komitetu org. pozostawił bez odpowiedzi. Wobec tych smutnych, tylko u nas możliwych faktów, wystawa urządzona była po dyletancku, a psy premjowane były przez ludzi zupełnie niekompetentnych. Panowie profesorowie weterynarji są z pewnością ludźmi wiedzy, której się poświęcili, są znakomitymi znawcami chorób zwierzęcych, ale aby osądzać czystość kilkunastu ras na wystawie reprezentowanych, trzeba być kinologiem, trzeba się było tej dziedzinie poświęcić i dokładnie ją przestudjować w teorji i praktyce. Psy kwalifikowane być mogą tylko przez fachowego sędziego, delegowanego przez centralę kinologiczną. W tym wypadku Polski Związek Hodowców psów rasowych swego sędziego obowiązany był wydelegować, w wypadku powiadam, gdyby wystawę urządzał miejscowy związek kinologiczny, centrali podległy.

Psy kwalifikowane i za rasowe uznane muszą być wpisane do ksiąg rodowodowych, prowadzonych przez Centralę. Taki sędzia fachowy, kwalifikując psy, występuje też w wdzięcznej i pożytecznej roli instruktora wobec hodowców, wykazując wady i braki w czystości rasy.

Tak się dzieje wszędzie (tak było i u nas przed wojną), gdzie ruch kinologiczny podlega ustalonym normom i tylko taka wystawa i takie premjowanie ma wartość i wpływ na rozwój hodowli tego najpożyteczniejszego i najwięcej inteligentnego zwierzęcia domowego. U nas odbyło się wszystko na dziko i tak przeprowadzona kwalifikacja jak i premjowanie okazów niema dla kinologa ani dla hodowli żadnych wartości. Niczyjej winy w tem niema, chyba naszego własnego niedołęstwa, żeśmy dotąd na polu hodowli psa rasowego niczego nie zaczęli.

Wystawa obfitowała w rozmaite Filusie i Pikusie, „herzpinkle“, naszych pań, ale pod względem psów użytkowych i myśliwskich wypadła bardzo marnie. Wybiły się na pierwszy plan cztery piękne settery „laverac“ p. dra Koźmian-Reychera, setter prof. R. Wacka i kilka wyżłów rasy niemieckiej, jak kpt. Łozińskiego i Błockiego, nadto było kilka rasowych chartów i jamników.

Z tonu ujemnie krytycznego przejdę jednak i na ton wesoły. W katalogu wystawowym czytaliśmy o dziwach! O setterze irlandzkim czarnym, gdy każdemu wiadomo, że pies tej rasy może być tylko czerwono rudy, tak jak setter szkocki (Gordon) może być tylko czarny z podpałami. Czytaliśmy o dobermance powstałej z krzyżowania jej matki z borsukiem!

Na moją uwagę (czytałem bruljon katalogu), by takich rzeczy świadczących o zupełnym analfabetyzmie w dziedzinie kiinologji i bjologji nie umieszczać, otrzymałem od jednego z aranżerów wystawy odpowiedź, że takie twory istnieją i jako dziwolągi powinny być wystawione. Ha! pomyślałem zdumiony, jeżeli tak jest, to naturalnie, że trzeba je wystawić i to nietylko we Lwowie, ale kolejno we wszystkich stolicach świata! Taki piesojaźwiec zrobi nietylko grubą kasę właścicielowi, ale też wstrząśnie podwalinami wiedzy biologicznej.

Czyżby frywolny dwuwiersz o „cierpliwym“ słoniu i nieszczęsnej ofierze jego zalotów, mrówce, miała jakie uzasadnienie? Po telefonach, telegrafach bez drutu, cudach radja — niczemu się już dziwić nie możemy!

Tych fenomenów nie ujrzeliśmy, niestety, na wystawie!

Piękne i dobrze utrzymane były psy straży granicznej i bardzo interesujące ich popisy.

A. M.



WŁAYSŁAW GÜRTLER.

Batory na łowach z sokołami.

(Wyjątek z obszerniejszej pracy).

Dokończenie

Tymczasem król nadjechał, utrudzonego ptaka wziął na rękę, pogłaskał go i uspokoił. Wypruto z zająca wątrobę i dano sokołowi. Zjadł ją łapczywie i drzemać począł. Zdobycz przytroczono do siodła.

Jeszcze się wszyscy myśliwi nie zjechali, gdy bystrooki p. Cygański, wypatrzył na dalekiem polu stado dropi...

Trzeba było ułożyć szybko plan strategiczny, bo dropie ostrożne, czekać nie lubią i ujdą, gdy zmiarkują co się święci.

W mgnieniu oka rozdzielają się łowcy na trzy drużyny. Jedna z królem, zostaje na miejscu, dwie inne w pełnym galopie rozjeżdżają się w przeciwne strony, aby ptaki podejść i zręcznie napędzić na króla.

Już uciekają we mgle z oczu... Za małą chwilę nadciągną dropie...

Król, Forgacz, Cygański i graf Telecki zdejmują swoim sokołom kaptury. Ptaki się strzepują, strzelają bystremi, czarnemi oczami wokoło i czekają... Ten i ów skubać się zaczyna.

Król pierwszy dostrzega nadciągające dropie i wskazuje je przyjaciołom. Duże ptaki robią wrażenie atakującej kawalerji. Wyciągnięte ich szyje prężą się, jak u koni w pełnym galopie, zwisłe nieco nogi znaczą się jak końskie odnóża, zgarbione tułowie zdają się być

jeźdźcami, pochylonymi na karkach, a wzniesione skrzydła, jak rozwiane końskie grzywy...

Już nadciągają, już ostry świst lotek szumi. I ciężkie ptaki przelatują szybko ponad głowami, jak burza gradowa.

Trudno było się zgodzić na wybór łupu, bo i czasu mało i wszystkie dropie jednakie. A było ich siedm.

Dopiero, gdy przeleciały, puszczono za niemi sokoły. Ruszyły wszystkie na wyścigi, ale że było ich pięć tylko, więc mogły tyle dropi zaatakować.

Tak się jednak nie stało, bo wszystkie uderzyły na jednego... Dwa usiadły na jego grzbiecie, jeden chwycił szponami za pierś, a dwa inne rzuciły mu się do oczu i głowy, szarpiąc ją pazurami i dzióbami z zajadłością. Leciały gęsto pióra...

W takich warunkach i z takim ciężarem nie mógł drop daleko ulecieć; drapieżniki siedzące na grzbiecie hamowały ruch skrzydeł, te z przodu kaleczyły oczy, a inny u szyi rwał żywą skórę. Zaszły dropiowi krwią oczy, zgasło ich światło, a gdy jeden z napastników uderzył go dziobem w tył głowy, stracił przytomność i runął, jak zestrzelony samolot, ciężko na ziemię, przygniatając na śmierć zawieszonego u szyi sokoła. Taką była jego zemsta...

Zanim zbliżył się orszak królewski, już dwa trupy leżały na miękkiej trawie, zgodnie obok siebie.

Drop i sokół wydały już ostatnie tchnie, ale ten ostatni trzymał się jeszcze kurczowo dropia...

„Satis na dzisiaj — rzekł król — przerywamy polowanie i jedziemy na wypoczynek do Łowicza!“

* * *

Miał Batory wielką uciechę, gdy patrzył na walkę ptaków. Ileż w niej widział różnych sposobów nacierania na nieprzyjaciela, ile kunsztu w odpieraniu ciosów! Ile zmyślnych postępów, forteli, niespodziewanych ruchów i ile epizodów ciekawych bywało w tych krwawych na śmierć lub życie zapasach! Cała oryginalna, pierwotna strategja. Lubił się w nią wpatrywać, bo mu przypominała pole bitwy.

Gdy z głowy spadły mu kłopoty, gdy nastała chwila miłego wywczasu i wytchnienia po trudach ciężkiej moskiewskiej wojny, już nie dorywczo, nie ukradkiem, ale z całą swobodą, z planem z góry ułożonym, puszczał się król na dłużej w pola i stepy z sokołami.

Częściej też wyjeżdżał, gdy o granice państwa był spokojniejszy zwłaszcza, gdy ciężki kamień spadł mu z serca w r. 1852 po pokoju zapolskim. Zajął się wtedy gorliwie i pilnie, jak on to umiał, urządzeniem łowiectwa na swoim dworze. Postarał się zatem o większą ilość sokołów, o psy myśliwskie rasowe, o siecie i o cały sprzęt myśliwski i polował, jak opowiada Heidenstein, po kilka miesięcy bez przerwy.

Zestawienie tych łowów i opisanie ich mogłoby stać się wdzięcznym tematem dla napisania wielotomowej pracy.

Żyłka myśliwska, z którą król przybył ze swej pięknej ojczyzny, rozwinęła się wśród nas w prawdziwą namiętność, bo i nasi przodkowie w onej epoce stawiali myślistwo w rzędzie najszlachetniejszych rozrywek i chętnie widzieli swoich władców polujących, zachęcając ich niejednokrotnie do hołdowamia łowiectwu, jeśli u którego z nich myślistwo na dalszym było planie. To też król Stefan, widząc szczery animusz myśliwski u swoich dworzan, korzystał chętnie z każdej nadarzającej się sposobności, by polując, dogodzić swoim i swego otoczenia skłonnościom.

Ponieważ Polskę ukochał całą siłą swej gorącej duszy, dlatego dla niej to robił, że nigdy, jak to czynili inni monarchowie, nie zaniedbywał się w swych obowiązkach królewskich, gwoli dogodzenia umiłowanej rozrywce. — To o świtaniu wyjechał do lasu w towarzystwie jednego lub dwu przyjaciół i wracał, gdy inni dopiero ze snu się budzili, to po drodze pomknął za lisem lub zającem, ale stawiał się w obozie, czy na radę nadworną, czy na sądy, zawsze w porę, zawsze na czas.

Wyznaczał terminy obrad, posłuchań, rozpraw sądowych i zawsze o nich pamiętał, nigdy się nie spaźniając.

Był wzorem punktualności, wzorem pracowitości, zwierciadłem najlepszego króla i najszlachetniejszego rycerza dla monarchów, wzorem dla myśliwych, wzorem dla narodu.

Urządzając swoje łowiectwo, natrafiał zwłaszcza w początkach swego panowania na duże trudności tak z powodu braku funduszów, jak i wogóle z powodu słabej podaży przedmiotów myślistwa. Szczególnie trudno było o łowieckie ptaki. Były one wtedy, jak zresztą zawsze bardzo drogie. Za sokoły można było nabywać ogromne dobra. Znanym jest gest cesarza Karola V-tego który oddał Joanitom piękną wyspę Maltę pod warunkiem, że mu dostarczą co roku jednego sokoła. Monarchowie przesyłali sobie wzajemnie cenne upominki, czy to w postaci koni wysokiej rasy, czy psów myśliwskich, czy też sokołów; te ostatnie należały chyba do najmilszych.

Królowi naszemu szło na dorobku dość ciężko; skarb wycieńczony, a różnych innych potrzeb bez liku. Zastał wprawdzie na dworze sokoły, ale były one wskutek niedbalstwa tak wychudzone i głodne, że ledwie żyć mogły i niejeden zginął prędzej, niż mu się należało. Przybywszy do Polski, musiał król asygnować co rychlej z własnych funduszów duże kwoty na mięso dla nich i na przyodziewek dla licznych sokolników.

Skoro nasi magnaci dowiedzieli się o tem zamiłowaniu swego monarchy, pośpieszyli z podarunkami. Wielkopolska w szczególności okazała się hojną; z niej też szły dary przeważnie w sokołach i w psach myśliwskich.

Ale i w innych częściach kraju znalazł się ten lub ów szlachcic, który podzielił się ofiarnie z królem swojemi sokołami, kiedy zauważył, że mu tem przyjemność sprawi i łaskę jego sobie zaskarbi.

Już w pierwszym roku pobytu u nas otrzymał król od Imć. Pana Chłopickiego w podarunku kilka ra-

rogów i jastrzębia. Podarek przyjął wdzięcznie i podziękować raczył. Tych kilka ptaków, któremi dysponował, nie mogło jednak wystarczyć na potrzeby dworu.

Ale Batory umiał sobie radzić. Łamał on inne lody, zwalczał skutecznie inne przeszkody, więc też i myślistwo dobrze zorganizował. Posłał więc swoich ludzi naprzód na Węgry i stamtąd sprowadził sokoły. Te atoli, trzymane zbyt krótko w Polsce i puszczone za wcześnie, gdzieś odleciały i przepadły.

Pocieszył się król po stracie, gdy się dowiedział, że Fryderyk Jerzy, książę pruski, a lennik Korony, przysyła mu kilka dobrze „unoszonych“ sokołów.

W Królewcu utrzymywano od dawna sokolarnie, cieszące się zasłużoną sławą w całej Europie. Miały one za sobą dobrą tradycję jeszcze po mistrzach krzyżackich, którzy lubowali się w łowach sokolich.

Wnet przywiózł Batoremu doskonałe sokoły Imć. Pan Andrzej Górka, kasztelan międzyrzecki, który miał w swoich dobrach pod Inowrocławiem urządzoną wzorową sokolarnię. Tem zaś chętniej to uczynił, że poznawszy bliżej Batorego, gdy go w granicach państwa i do Krakowa mu towarzyszył, jako jeden z pierwszych dygnitarzy, szczerze go pokochał i trwale się do niego przywiązał. I później dostarczał swemu panu licznych, ułożonych sokołów.

Z biegiem czasu, gdy się wojny skończyły, powstaje na dworze królewskim szkoła dla układania sokołów, mnoży się liczba dobrych psów myśliwskich, przybywają z zagranicy biegli sieciarze i długie siecie sporządzają. Rozrastały się więc powoli statki królewskie, bo i ofiar przybywało, zwłaszcza gdy szlachta swego króla-bohatera coraz gorętszym sentymentem otaczać poczynała, a pokochawszy całem sercem, zwoziła mu lub znosiła sokoły, stare, tresowane „dziwoki“ i młode „gnieżniki“, jastrzębie oswojone i ułożone „maiże“, charty wiatronogie, a nawet konie dobrej rasy.

Kasztelan wołyński, p. Starzechowski, przysłał mu kilkanaście wyuczonych sokołów, a obiecał i więcej. Pamiętał o królu i znany nam p. Gotthard, książę kurlandzki, ofiarując mu kilka białozorów. Nawet chłopi przynosili na dwór młode sokoły wędrowne, gnieżniki, jak je Cygański nazywa. Wnet też powstaje na dworze królewskim sokola „akademja“, a w niej uczą tacy fachowcy, jak: Wilhelm Ludwik i wspomniany już Ewehard Szmalder.

Obu przyjęto już dawniej do służby, zapewniając świetne utrzymanie i wysokie wynagrodzenie. A że przywieźli ze sobą siedm własnych, doskonale łowiących białozorów, więc je król nabył, płacąc samice po 30 złp. za sztukę, samce zaś po 20 złp.

W ten sposób doszedł monarcha około roku 1583 do posiadania kilkuset sokołów, które na jego skromne potrzeby myśliwskie już wystarczały.

Utrzymanie ptaków pochłaniało wprawdzie duże sumy, ale Batory, aczkolwiek bardzo oszczędny, nie skąpił grosza, skoro sobie postanowił urządzić sokolarnię.

Jakże jednak ubogo przedstawiała się ona w porównaniu ze sokolarnią ówczesnego sułtana, Solima. Historycy tureccy zapisali, że na jednem tylko jego polowaniu na stepach Anatolji brało udział aż siedm tysięcy sokołów i pięć tysięcy psów myśliwskich!

Po śmierci Batorego nastąpiło pewne zwyrodnienie łowów sokolich. Z całem rozpasaniem odbywają się coraz częściej krwawe pościgi łabędzi lub szczczucie sokołów na sokoły. Ginęły wówczas masowo łowcze ptaki, uśmiercane przez swoich braci.



DR. STAN. KOŹMIAN REJCHER

Z GALERJI SŁAWNYCH PSÓW

HERKULES

Między Nemours a Mondagris we Francji, stoi piękny, starożytny zamek, który ongiś należał do Karola V, księcia Lotaryngji.

Karol V znany jest też w historji Polski, gdyż ubiedał się w swoim czasie o koronę Polski, a żoną jego była Eleonora Marja, wdowa po królu Michale Korybucie Wiśniowieckim.

Zwiedzającym zamek przewodnik zawsze pokazuje stary kominek, na którym wyraźnie zupełnie zachowało się malowidło, wyobrażający pojedynek między psem a rycerzem średniowiecznym. Kominek jest pomnikiem psa Herkulesa, który za życie swego pana, Aubry de Montdidier, sławnego rycerza francuskiego, własne życie oddał.

Paź dworski, Aubry de Montdidier, był faworytem i ulubieńcem księcia Karola i z tego powodu inni paziowie nienawidzili go i przeciwko niemu intrygowali. Szczególną nienawiścią do Aubrego pałał rycerz młody Ryszard Maucaire. Denuncjacje, wyszukane intrygi, nie zachwiały jednak stanowiska Aubrego i dlatego w zemście postanowił zabić swojego rywala.

Niedaleko zamku księcia mieszkała narzeczona rycerza Aubry. Droga do narzeczonej prowadziła przez las. Pewnego ranka Aubry postanowił pójść do swojej narzeczonej i wysłał naprzód swego wiernego psa Herkulesa, który przybycie pana swojego miał uprzedzić. Z tej okazji skorzystał mściwy Mauclaire, zaczaił się w lesie i gdy rycerz Aubry przez las Bondy przechodził, napadł go znienacka, zamordował, ciało w lesie zakopał i wrócił do dworu. W domu narzeczonej napróżno wyczekiwano przybycia miłego gościa. Godziny mijały, a Aubry się nie zjawiał. Najwięcej zaniepokojenia wykazał pies Aubrego, Herkules, który wył i skomlał i prosił, by go wypuszczono. Późno już było, wszyscy przypuszczali, że coś przeszkodziło przybyć panu Aubry i nie przeczuwając tragedji, psa wypuścili do domu. Zaledwie pies dostał się poza obręb dworski, pobiegł pędem do

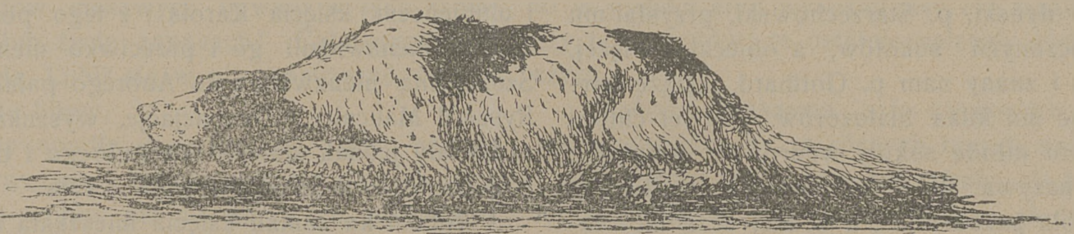
lasu i odszukał, niestety, zimne już i sztywne zwłoki swego ukochanego pana i dobrodzieja. Rozpacz psa musiała być wielka, gdyż przez kilka dni pozostał przy zwłokach swojego pana, nic nie jedząc ani pijąc, tylko płacząc żałośnie. Los jednak nie chciał, by pies w ten sposób zginął. Po kilku dniach pies wycieńczony głodem, resztkami sił dowlókł się do domu przyjacieja pana Aubry, który go nakarmił i nim się zaopiekował. Wszyscy domownicy zauważyli jednak, że zachowanie się psa jest nienormalne. Pomimo opieki, jaką w domu przyjaciela pana swego doznawał, pies w domu się nie zatrzymywał, tylko zjadłszy coś, uciekał i kilka dni się nie pokazywał. Tajemnicze zniknięcie pana Aubry, częste ucieczki psa i jego niesamowite zachowanie się, był smutny i przygnębiony, nasuwały podejrzenia, że stać się musiała rzecz straszna. Zaczęto śledzić psa i w ten sposób wykryto morderstwo, ale nie mordercę. Zwłoki rycerza Aubry oddano ziemi ze wszystkiemi honorami. Długo zastanawiano się nad śmiercią, ale nadaremnie. Śmierć rycerza byłaby niewyjaśnioną, gdyby nie przypadek.

W lasku Bondy odbywało się polowanie, na którem książę Karol ze swoim dworem był obecny. Wśród uczestników był też rycerz Maucaire. Przypadek chciał, że odpoczywano w miejscu, gdzie trupa Aubry'ego znaleziono, więc rozmowa o śmierci rycerza się toczyła, aż w tej chwili stała się rzecz wprost straszna. Z ukrycia wyskoczył pies Herkules i rzucił się z furją na rycerza Maucaire'a. Zdziwienie było nie do opisania. Z trudem psa oderwano od Maucaire'a. Zachowanie się psa było dziwne. Pozwolił się wszystkim głaskać, tulił się do każdego, ale niech Bóg broni, gdy znów w pobliżu zobaczył Maucaire'a. Rzucał się na niego, gryzł go i nic powstrzymać go nie mogło. Książę i uczestnicy polowania wywnioskowali, że prawdopodobnie Maucaire brał czynny udział w tajemniczej śmierci Aubry'ego i postanowili przesłuchać go. Maucaire, ma się rozumieć, całą siłą zaprzeczył, jakoby on był winowajcą śmierci Aubry'ego i udawadniał swoje alibi, ale nie znalazł posłuchu u przesłuchujących go. Wtedy książę wpadł na myśl, by sprawę oddać rozstrzygnięciu losowi. Między psem Aubry'ego a Maucairem odbyć się ma pojedynek i wtedy los wskaże co się stało.

Na wyspie Notre Dame, która była naonczas niezamieszkała, dnia 8. października nastąpić miało spotkanie dwóch tych nierównomiernych współzawodników. W dzień pojedynku mnóstwo ludzi zebrało się w oznaczonem miejscu. Sam książę ze świtą był też obecnym. Maucaire zjawił się w pancerzu rycerskim i tarczą, ale bez hełmu na głowie, w ręku tylko trzymając kańczug. Pies był bez zbroi, ale niedaleko leżała beczka bez dna, w której pies miał znaleść schronienie, na wypadek, gdyby chciał się schronić.

Gdy wszystkie przygotowania były ukończone, zjawił się na boisku Maucaire, a za chwilę puszczono psa. Herkules, zaledwie ujrzał rycerza, rzucił się na niego. Pierwszy atak Herkulesa był niefortunny, bo otrzymał ciężkie uderzenie kańczugiem po tylnej łopatce, tak, że skóra aż w strzępy się rozleciała, ale atak następny był więcej udany. Pomimo strasznego bolu skoczył do Maucaire'a i w jednej chwili chwycił go za gardło i na ziemię powalił. Maucaire czując, że pies go poszarpać jest w mocy, krzyknął, że chce prawdę powiedzieć i skruszyć się. Psa z biedą oderwano od omdlałego z bolu rycerza, który przyszedłszy do siebie, opowiedział, że on zabił Aubry'ego i oczekuje kary. Książę kazał Maucaire'a stracić.

Przywiązanie i wierność psa Herkulesa przyczyniły się do wykrycia morderstwa i do ukarania sprawcy mordu.



OGRÓD ZOOLOGICZNY W POZNANIU

SPRAWOZDANIE ZA ROK 1926

Jedyny polski zwierzyniec walczy nadal z trudnościami pieniężnemi. Kulturalna ta instytucja nie otrzymuje żadnej subwencji państwowej. Ciężar utrzymania Zoologu spoczywa na barkach miasta Poznania i nielicznych jednostek dbałych o dobro ogółu. Zły stan gospodarczy kraju i bardzo nieodpowiednia pogoda 1926 roku nie zwiększyła liczby zwiedzających, a tem samem wpływu kasowego, który w stosunku do roku 1925 okazał się mniejszy o 18.112·25 zł. Utrzymanie dzienne Zoologu wynosi 450 zł. Dochody i rozchody 1926 r. balansują w sumie 253.156·48 zł.

Gotówkę ofiarowali w złotych: Marjan Szołdrski adw. i notarjusz, Poznań, 300; K. Wojnar, Warszawa, 10; Jan Lipiec, Poznań, 10; Stan. Lilpop, Warszawa, 100; Wacław Popiel, 100; Bank Związku Spółek Zarobkowych, Poznań, 300; Centrala Rolników, Poznań, 150; Cukrownia w Żninie, 100; Krajowe Ubezp. Ogniowe, Poznań, 500; Starostwo Krajowe, Poznań, 500; Kasa

Miejska, Grabów, 25; Magistat miasta Inowrocławia, 100. Celem uzupełnienia zwierzostanu nabyto z ważniejszych zwierząt: 4 pawiany, 3 ostrobrewki czarne, jedną hjenę centkowaną, 2 ostronosy, 1 gazelę, 1 parę koni huculskich, 1 parę koników polskich, 1 owcę muflon, 1 kazuara, 1 parę strusi nandu, 1 parę strusi afrykańskich, 3 marabuty, 2 żórawie łyse i większą ilość drobnego ptactwa do nowej woljery. Ogółem posiadał Zoolog 89 gatunków ssaków (226 sztuk) i 135 gatunków ptaków (568 sztuk). Razem więc posiadał 794 sztuki w 224 gatunkach, wartości 238.307 zł.

Wskutek rozmaitych chorób zeszły 24 ssaki wartości 17.211 zł i 25 ptaków wartości 2.982 zł. Z ważniejszych zaś zwierząt zeszły: 2 pawiany (gruźlica), dwa koczkodany (robaki w wnętrznościach wzgl. epilepsja, 1 tygrys (zapalenie płuc), 1 niedźwiedź tybetański (uwiąd starczy), 1 antylopa końska (zapalenie płuc), 2 lamy (wrzody na wątrobie wzgl. choroba porodowa), 1 kazuar (udar serca wskutek otłuszczenia).

Dary w zwierzętach nadesłali:

Podpłk. Kluczyński, Dow. 69 p. p., Gniezno, jedną wilczycę; Henryk Messing, Warszawa, 1 lisa; Ratowicz, Poznań, 1 papugę amazonkę; Ordynat hr. Skórzewski, Czerniejewo, 4 łanie, 9 bażantów; Brech, Włocławek, 1 jastrzębia: Prof. Dr. Jan Grochmalicki, Poznań, 15 akselotek; Tadeusz Nowicki, Włodzimierz, 5 susłów; Grzybkowski, Ostrów, 1 lisa; Marja Frydrychowiczowa, Chlewiska, 1 tchórza; Czerny, Warszawa, 1 kanię; Rostek, Ladzkie, 2 dziki; Ignacy Konopka, Mogilany, trzy borsuki; Feliks Rontz, Poznań, 1 parę gęsi łabędzich; Uczelnia im. Dąbrówki, Poznań, 1 puhacza; Bryliński, Słupia, 1 myszkę białą; Zakład Zoologji i Etnomologji U. P., 1 jeża, 1 srokę, 1 sokoła pustułkę, 1 sowę (pójdźkę); Wiktor Piątkowski, Strzelno, 1 żórawia greckiego; Leśnictwo, Gniezno, 1 młod. rogacza; Kolonje Wakac. „Stella“, 2 jastrzębie; Winter, Stanisławów, 1 małpę (Rezus); Ziętkowśki, Czarnków, 1 kuliga; Wawrzynowicz, Poznań, 1 parę gołębi garłaczy; Turzyński, Poznań, 1 czaplę; Szkoła dla leśniczych, Bolechów, 2 sowy, 2 puszczyki; Zofja Szorska, Odolanów, 1 czaplę; Inżynier Ostrowski, Kuźnica, 1 kormorana; Józef Szuwart, Poznań, 1 wilka; Piotrowski, Poznań, 1 czaplę; Bernard hr. Skórzewski, Zbąszyń, 1 bąka; Jaegerman, Łuka, 1 dzika; Majętność Zbieka, 1 jastrzębia; Walter Steckel, Opalenica, 1 daniela (rogacza); Antoni Jundziłł, Hrudopol. 1 rysia; Inż. M. Filipowicz, Samdor, 1 dzika; Czarnecki, Raszewy, 1 tchórza: Karol ks. Radziwiłł, Mańkiewicze, 4 czarne bociany; Stanisław Lutowski sen., Swarzędz, 1 tchórza; Polski Czerwony Krzyż, Poznań, 1 kosa, 1 morską świnkę; Jerzy Hach, Kropiwnik Stary, 1 żbika; Kapitan A. Hamlik, 1 puhacza; Komenda miasta Kalisza 1 jelenia; Czesław Stronczak, Lisko, 1 orła przedniego; Wlastimil Hofman, Kraków, 1 myszołowa; Władysław Chmielewski, Poznań, 11 sztuk gołębi; Kazimierz Rzóska, Gołaszyn, 1 lisa; H. Zeman, Olkusz, 2 jastrzębie; Stan. Van der Goghen, Poznań, 1 jastrzębia; Józef Rumplewicz, Poznań, 1 jastrzębia; Józef Sitarz, Witaszyce, 1 chomika; Inż. Wiktor Nahlik, Grzęda, 1 jastrzębia; Dr. Tkocz, Steinau a/O, 1 ostrobrewkę czarną.

Ogród Zoologiczny posiada własnej roli 28·5 morgów i dzierżawi od miasta 115 morgów.

Z całego obszaru, oprócz paszy zielonej, z 2·5 ha sprzątnięto: pszenicy 80 ctn, żyta 451 ctn, owsa 135 ctn, jęczmienia 122 ctn, ogółem 788 ctn zboża, 770 ctn ziemniaków, i 1.700 ctn buraków i wszystką słomę zbożową. Wysiano na wiosnę 10 ctn owsa, 10 ctn jęczmienia, zaś jesienią 64 ctn żyta i 5 ctn pszenicy.

Dary w naturaljach złożyli:

Hermanmühlen T. A., Poznań, 45 ctn ospy żytniej; Młyn Ziemiański, T. A., Poznań, 40 ctn ospy żytniej; Ordynat hr. Skórzewski, Czerniejewo, 20 ctn owsa; Cukrownia we Wrześni, z pol. p. Wilkoszewskiego, jeden wagon wytłoków; hr. Bnińska, Gułtowy, 20 ctn owsa; Majętność Gorzyce 1 wagon marchwi; Młyn Poznański T. A. Poznań, 10 ctn ospy; Pleszewskie Młyny Parowe, Pleszew, 80 ctn śrutu z mieszanki, 40 ctn ospy żytniej, 40 ctn ospy pszennej, 22 ctn owsa, 10 ctn ospy jęczmiennej; Dzabaszewski, Poznań, 1 konia na żer; Minister Pluciński, Swadzin, 100 ctn kartofli do sadzenia; Cremer, Gilcz, 1 wagon cwikły; Stefan Twardowski, Wojnowo, 1 wagon kartofli; Cukrownia Kościańska, Kościan, 80 ctn wytłoków such., 1 wagon wytł. mokrych; Bracia Morawscy, Poznań, 1·5 ctn mieszanki; Zarząd Dóbr Kórnickich, Kórnik, 10 ctn owsa; Czesław Kozłowski, Poznań, 60, 70 kg owca i jęczmienia; Po jednym koniu na żer: Fa. H. Cegielski T. A., Poznań; Stanisław Leiszner, Dziećmierów; Fa. Wulkan, Poznań; Dominium, Granowo.

Pod względem ogrodniczym dba o upiększenie całego ogrodu Dyrekcja Ogrodów Miejskich. Jako inowacje ogrodnicze zasługują na uwagę małe kwietniki wokoło drzew w zwierzyńcu i otwarcie widoku z parku na nową woljerę.

Koncerty orkiestry 7 p. art. ciężkiej odbywały się w niedziele i święta i w każdą środę, począwszy od 1. maja do końca września.

Za każdorazowem opłaceniem wstępnego zwiedziło Ogród Zoologiczny 151.170 osób; ponadto bezpłatnie zwiedziło go 14.900 młodzieży szkolnej z miasta Poznania i 7.420 z prowincji, ogółem więc 22.320 młodzieży, zaś żołnierzy 6.210.

Administracja Ogrodu Zoologicznego została boleśnie dotknięta przez śmierć dwóch wytrwałych współpracowników. Dnia 23. kwietnia 1926 zmarła po długiej chorobie płucnej kasjerka śp. Marja Czernkowska, a 22. listopada 1926 niespodziewanie skutkiem operacji rozstał się z tym światem inspektor śp. Ignacy Jeska. Zasługi zmarłych około podniesienia i utrzymania Zoologu były niecodzienne. Cześć ich pamięci!

Na tem zamykamy niniejsze sprawozdanie i dziękujemy wszystkim przyjaciołom i miłośnikom Ogrodu Zoologicznego za szczere i życzliwe poparcie. Cześć wszystkim hojnym ofiarodawcom, którzy przez swe dary w bardzo wysokim stopniu przyczynili się do dalszego rozwoju poznańskiego Zoologu.

Józef Władysław Kobylański.

Dr. A. RUCZKA

SPOSTRZEŻENIA O WILKACH

Ciąg dalszy

Nie wiem, jak to długo trwało, gdy obudził mnie blask latarki elektrycznej, kręgiem światła skierowanej w moją twarz. To mój towarzysz odsiedział już swoje cztery godziny — i oprócz dwu lisów, które „jeszcze tam są“, nie widział nic wilczego. Zostawiłem mu na pociechę rozgrzane futra, a sam w krótkim kożuchu, z latarką w jednej a bronią w drugiej dłoni, zstąpiłem w podziemia. Doszedłszy do zamkniętych drzwi wyglądu, obróciłem je cicho, po uprzedniem przerwaniu kontaktu latarki i przy mdłem świetle padającem przez okienka, okraczyłem drewnianego kozła.

Cała knieja stężała w ciszy. Po lewej stronie obstrzału w częściowym cieniu dziesięcioletniego zapustu, znaczyła się wąskim białym rogalem reszta zaspy śnieżnej.

Całe pole przedemną zupełnie bezśnieżne, wyskibiało się miejscami, w nikłej poświacie miesięcznej, w kształty przesychanych resztek końskich. Po otwarciu oczu, do ostatnich granic widzenia, skiby te wysterczały w górę, jaśniejszym pochylonym płotkiem końskich żeber.

Całe tło oszronionej trawy, wysączało jakiś przyziemny szaro zielony opar blasku.

Po prawej stronie zamarły w uboczy, pionowe strzały pni jodłowych o szarej barwie cyny.

Podjedle popstrzone zielono złotawemi palczastemi plamami, przesianego przez wiechy światła księżyca, znaczyło się w nieregularnych odstępach tajemniczym czarnym walcem, zapomnianego pnia-trupa.

Głośniej tylko odrywały się, pasemka śniegu, zapomniane wśród uboczy. Gdzieś tam na prawo w górę, wspinały się ciche, ciemne korony jodeł. W środku w zacięciu między zboczami, wisiała samotna tarcza księżyca.

Wsłuchanego w tę ciszę obudził delikatny chrzęst, jakby wyrywanego zmarzłego mięsa. Zwróciłem oczy na najbliżej leżące resztki końskie i zdało mi się zauważyć jakiś nieznaczny ruch. Lekko więc przesunąłem palcem po szybie i natychmiast zauważyłem dwa długie niepewne cienie, wysuwające się na czyste.

Poznałem lisy, które uspokojone, w zgodzie powróciły wkrótce do padliny.

W pewnym czasie, w starych jodłach z prawa zahukał puszczyk i na to zawtórował mu w uboczy cały chór. Że to tam nie było bez powodu, to nawet lisy ucztujące poznały. Wysunęły się z za ścierwa i przystanęły w cieniu pod zapustem. Długi czas potem nie przerywało ciszy żadne zdarzenie, więc ostrożnie zmieniłem niewygodnego kozła na wygodniejszą ławkę, a że swojemu towarzyszowi, chrapiącemu pewno teraz we futrach, nie zostawiłem wszystkiego ciepła, więc ta zabrana reszta zaczęła mnie rozmażać i popadłem w stan dobrze mi znany z czasów wojennych, stan półsnu, półjawy, przy którym jednakże wszystko się słyszy.

Mogła tak minąć godzina, kiedy usłyszałem, jakby kilka dalekich bosych stąpnięć, na tyle jednak ciężkich, iż odpowiada im odgłośnia klatki piersiowej.

Stąpania te ostrożne, usłyszałem gdzieś nad głową.

Rozbudzony zupełnie, powoli, unikając możliwego tarcia sukien, podniosłem się na tyle, że mogłem z niewygodnej pozycji, pół siedząc jeszcze na ławce, w połowie stojąc, zaglądnąć w okienko.

Na trzy kroki przed oknem stał wilk cały zamieniony w słuch. Wytrzymał mnie w tej pozycji, aż mi uda poczęły dygotać. Ruszył wreszcie wolnym krokiem, między najbliższe a najświeższe konie i wrócił z powrotem w wysokie jodły na prawo.

Wtedy powoli otworzyłem klapę strzałową i wysunąłem ostrożnie lufę dryllinga. Przez lunetę umieszczoną na broni, rozjaśniło mi się nieco pole widzenia.

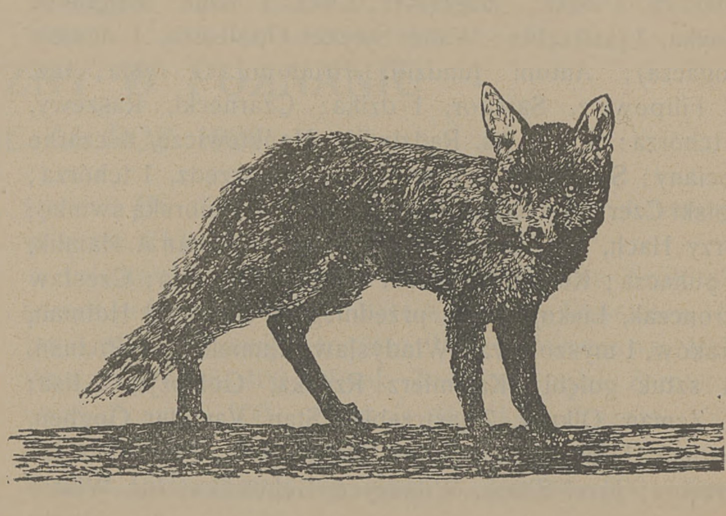
W końcu pola obstrzału, połową w cieniu połową górną jeszcze w świetle, ukazał mi się na połeć. Przez ostre końce sierci przesuwały się promienie księżyca, oznaczając kontury wąziutkiem, jasnem pasemkiem. Poziome ramię krzyża lunety wdłuż ciała i strzał.

Wilczysko w szkle wyskoczyło w górę i padło na miejscu.

Była godzina jedenasta, więc odsiedziałem jeszcze do godziny drugiej i zbudziłem na zmianę mego towarzysza. Kiedy go z trudem z futer wykopałem, przekonałem się, że strzału zupełnie nie słyszał. Nie mówiłem mu też nic, by mu nie psuć gorliwości i ostatecznie po wszystkiem nie bardzo się krzywił, bo zastrzelił nad ranem przy ścierwie starego samca kunę. Wielkie też było jego zdziwienie, kiedy idąc wspólnie zemną po kunę, zobaczył opodal leżącego wilka.

Była to wilczyca, która już kiedyś rzuciła młode, na obecny sezon ciąży nie potrafiłem skonstatować. Musiała jednak tej ostatniej nocy długo, bezskutecznie i o głodnych kiszkach polować, bo sierć na niej była pozlepiana soplami lodu, a więc przypuszczam, że przepłynęła tejże nocy Stryj, o 15 km na przełaj oddalony. Przytem przewód pokarmowy zawierał jakieś pióra skąpe pozatem był zupełnie pusty.

C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Wspomnienia z tajgi Zazurskiej.

(Dokończenie)

W czasie tej krótkiej rozmowy Czorek zeszedł z przeciwnej strony i połechtał tyką zwierza, który słabym odpowiedział pomrukiem. Pochyleni cokolwiek naprzód, zatopiliśmy nasz wzrok w legowisko zwierza, oczekując jego pojawienia. Misio, mimo powtórzonego ataku Czorka i jego wrzasku, do jakichś zaklęć podobnego, nie chciał opuścić barłogu i dopiero wystrzałem z owej skałkowej maszyny zestraszony, runął naprzód. Osypała się gęsta okiść śnieżna z zarośli, zatrzeszczały łamane gałęzie i z ich środka ukazał się olbrzymi potwór czarny. Oślepiony jasnem dnia światłem, na sekundę zatrzymuje się, a zoczywszy przed nim stojącego o kilka kroków Płońskiego, z okropnym rykiem rzuca się ku niemu, nie bacząc na naszą obecność, jakgdyby jego jednego tylko uważał za swego wroga. Płoński bierze go na cel, lecz sztucer drży mu w rękach i strzał chybia zwierza. „Pal z drugiej, a cel dobrze!" — wola Samobytow, lecz P. się ociąga, moment krytyczny, który Wasyl jeszcze pogarsza swem tchórzostwem, bo widząc chybionego zwierza, odrzuca swój oszczep i — pada twarzą w śnieg głęboki, — zapewne w przekonaniu, że leżącego człowieka zwierz nie rusza.

Mimo znanej mi zimnej krwi i pewnej ręki Samobytowych, stojących dotąd spokojnie, odczułem lęk o życie Płońskiego, przycisnąłem zatem sztucer do ramienia i w chwili, gdym miał pociągnąć za cyngiel, padł drugi strzał P. i niedźwiedź z rykiem zwalił się pod nogi myśliwego.

Głośne brawo nasze zmieszało się z rykiem dogorywającego zwierza. Płoński blady, trzęsący się cały, stał chwilę z osłupiałym wzrokiem, wlepionym w czeluść legowiska, jakby w oczekiwaniu stamtąd czegoś strasznego, był głuchy i niemy na nasze pochwały i radość. Cofając się mimowolnie w tył, potknął się o leżącego Wasyla, padł na niego i przywalił go swą pokaźną figurą.

Nie mniej silniej od ryku zwierza, zawył biedny Wasyl, sądząc, że został przygniecionym przez zwierza, a gdy Płoński podniósł się, wybuchnęliśmy śmiechem na widok przestraszonej i wylękłej gęby czuwasza. Płoński długo jeszcze nie mógł zdać sobie sprawy z całego zajścia, był oszołomiony i wzruszony do głębi duszy.

Już niejednokrotnie zauważyłem, że myśliwi w takich wypadkach tracą na chwilę świadomość o tem co zaszło i nie orjentują się długo w skutkach swego strzału, ratującego mu życie. Tak i Płoński, mimo naszych powinszowań i widoku martwego zwierza — długo jeszcze stał jakby nieprzytomny.

Nie potrzebuję zapewne nadmienić, jak szczęśliwi i weseli z wyniku łowów, powracaliśmy do Awernianichy. Zapytany w drodze Płoński, czy weźmie udział w dalszych polowaniach na niedźwiedzie — „wątpię" — odrzekł, przeżyte tylko co wrażenia, na długo pozostaną w mej duszy — niepodobna zapomnieć tak okropnej chwili. Teraz mam jedne jedyne pragnienie rozgrzać zastygłe ciało gorącą herbatą.



Notatki bibljograficzne.

F. A. Mitchell Hedges. *Polowanie na potwory morskie.* Nakładem Wydawnictwa Polskiego w Poznaniu. 1927. s. 235, z 53 ilustracjami. Cena 15 zł. Nie jestto książka myśliwska, ale raczej rybacka. Autor strzela wprawdzie krokodyle, ale główną osnową opowiadania są niezmiernie ciekawe zapasy z „potworami" głębin morskich, z olbrzymiemi rybami, które łowi jużto na specjalnie przez siebie obmyślane wędki, jużto na zarzuconą przynętę. Bijąc rozmaite światowe rekordy, dochodzi do nieprawdopodobnych wyników. Schwytanie na wędkę potwornej raji, lub rekina staje się dla niego igraszką. Emocję stanowi dopiero coś „grubszego" — dość powiedzieć, że wśród wyciągniętych z głębi oceanu sztuk znajduje się n. p. ryba-piła, ważąca 5.700 funtów. Można sobie wyobrazić, jakie trudy i niebezpieczeństwa przeżywa rybak, zanim taki okaz do tego stopnia się zmęczy, że można go wreszcie podciągnąć na tyle do łodzi lub jachtu, aby go dobić wystrzałami karabinowemi i przywlec do brzegu. Są chwile, w których się wydaje,

że to nie rybak złowił rybę, ale ryba-potwór złowiła rybaka i na linie „manilskiej“ holuje go milami w bezbrzeżną przestrzeń na wywrotnej łodzi wśród skał podwodnych i raf koralowych. Niektóre sztuki były tak silne, że już nie łódź, ale cały jacht ciągnęły za sobą, ba zrywały go z kotwicy. Toteż nie mogą nas dziwić następujące słowa autora: „Polowanie na grubego zwierza straciło ostatniemi czasy wiele ze swego uroku, gdyż udoskonalona broń czyni straszne spustoszenia w zwierzostanie świata... Łowiectwo ryb wielkich i polowanie na potwory głębi w ich podmorskich pieleszach wciąż jeszcze jest w powijakach. Obfituje ono w niebezpieczeństwa, dostarcza dreszczów, w których zasmakuje każdy rasowy sportowiec; przytem niema się wyrzutów sumienia, uwalniając ocean od pewnych gatunków. Pod względem dzikości i okrucieństwa, potwory głębi osiągają rekord światowy, dajmy na to takie rekiny, zwane tygrysami morza. .“ Zdobycze swe dokumentuje autor doskonałemi fotografjami i pomiarami; przeprowadza nadto na ważniejszych okazach sekcję anatomiczną w celach naukowych. Książka jest w całem słowa znaczeniu interesującą, a jeszcze bardziej pouczającą, mówi nam bowiem o rzeczach zupełnie nieznanych. Tłumaczenie jest bardzo dobre.

W. Z.



Korespondencje

Chodorów, w maju 1927.

Dnia 20. marca b. r. odbyło się doroczne Walne Zebranie członków Towarzystwa łowieckiego w Chodorowie.

Po odczytaniu protokołu z ostatniego Walnego Zebrania, przystąpiono do sprawozdania Zarządu. Łowczy Towarzystwa, p. Katzer Lesław, przedstawił zebranym trudności, jakie pokonać musiał wstępujący Zarząd przy pracy organizacyjnej Towarzystwa. W roku minionym, wydzierżawiono prawo polowania w trzech gminach, a to Czerniów, Żurów i Hrehorów, o łącznym obszarze około 3.000 morgów lasów i pól. Szczególnie wielkie trudności miał Zarząd Towarzystwa przy wynajmie prawa polowania gminy Czerniów, gdzie wprost wrogie stanowisko sąsiadów powodowało, że poszczególni mieszkańcy gminy zasypywali Starostwo w Rohatynie licznemi rekursami. Jestto powojenna psychika, gdzie każdy prawie mieszkaniec gminy uważa siebie jako uprawnionego myśliwego i nie chce za żadną cenę dopuścić do wynajmu prawa polowania, a dalsze nieprzejednane stanowisko niektórych właścicieli dóbr, którzy każde Towarzystwo myśliwskie uważają za zbieraninę ludzi, mogących być li tylko kłusownikami i myśliwymi dla mięsa, a nie posiadają etyki myśliwskiej. Łowczy zaznaczył dalej, że w stosunku do Tow. Łowieckiego w Chodorowie jestto mylna opinja, bo członkowie tegoż są to myśliwi — sportsmeni przedwojenni — zaś Zarząd dążył do podniesienia stanu zwierzyny, wyznaczając dla każdej gminy płatną straż łowiecką, której zadaniem było prócz pilnowania terenów, tępienie szkodników, za które otrzymali dość znaczne strzałowe.

Prócz tego Zarząd Towarzystwa w roku ubiegłym nie dozwalał na polowania luzakiem na obszarach wydzierżawionych, a ograniczył się tylko na dwu polowaniach gremjalnych.

Tego rodzaju zarządzenia wskazują na mylną opinję. Dzięki jednak Starostwu w Rohatynie, przeszkody te pokonano i przed Towarzystwem otwiera się droga do dalszej skutecznej pracy. Po sprawozdaniu dalszem przystąpiono do udzielenia absolutorjum ustępującemu Zarządowi, które jednogłośnie uchwalono.

Następnie przeprowadzono wybory do Zarządu na rok 1927, w skład którego weszli p. Katzer Lesław jako przewodniczący, p. Pęczkowski Zygmunt jako zastępca, p. Thullie Witold, Zajączkowski Władysław, Palkowski Zygmunt, Kniżatko Karol, Krajewski Rudolf, Paradowski Antoni, Dybkowski Juljan, Niezbrzycki Feliks, jako członkowie Zarządu. Do Sądu polubownego p. Schmidt Ernest, Thullie Witold i Dybkowski Juljan.

Po uskutecznionym wyborze omawiano sprawę założenia bażantarni, którą to sprawę przekazano nowowybranemu Zarządowi. *Lesław Katzer.*

* * *

Gródek Jagielloński w maju, 1927.

Z dziczej mozaiki

Że myśliwy przeżywa różne dziwne napozór — a w rzeczywistości zupełnie możliwe epizody, opowiem zdarzenie z mej praktyki myśliwskiej, — które w myśl przysłowia: „co ma wisieć — nie utonie“, lub mówiąc argumentem dziś nawet modnym: „nie kijem go — to pałką“ — ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa, a nawet pewności.

W styczniu 1920 r. polowaliśmy na polu w K, kociołkami, przy której to sposobności zajęliśmy także mały, kilkodziesięciomorgowy, silnie przecięty lasek gminny. Mnie przypadło pierwsze stanowisko flankowe. Gdy inni myśliwi zachodzili jeszcze na czoło i lewą flankę i nagonka dopiero się rozstawiała — posłyszałem nagle w miocie za plecami szelest ocieranych suchych liści na młodych, gęstych krzakach grabowych. Zwró-

ciwszy głowę, ujrzałem na prawo w tyle za sobą niedużego jeszcze dzika, który wysuwał się z tego miotu do miotu polować się mającego, a leżącego tuż obok granicy obcego rewiru, w którym prawie stale zalegały dziki. Nie mając broni kulowej ani kuli — ani nie mogąc pohamować emocji z powodu nadarzającej się sposobności strzelania do dzika, zaryzykowałem na odległość 50 kroków strzał śrutem Nr. 6, mierząc w szyję, tem bardziej, że był to warchlak kilkomiesięczny. Nie wiedziałem jednak czy chybiłem, czy nic dzikowi nie zrobiłem, — gdyż dzik przeszedł w poprzek całego miotu i wymknął się niestrzelany powtórnie do sąsiedniej kniei.

W dwa lata niespełna później polowałem w sąsiednim rewirze w G, na czarnej stopie, bo z końcem października, w lesie przedzielonym licznie uczęszczanym gościńcem rządowym, w miocie leżącym tuż przy nim, a oddalonym o kilkaset metrów od strzelnicy wojskowej, na której odbywały się właśnie ćwiczenia w strzelaniu nietylko bronią kulową i kulomiotami, ale też i w rzucaniu granatów ręcznych. Echo tych strzałów rozchodziło się po całym lesie. Króżby w tych warunkach mógł się spodziewać tam dzików?!

Jednakże, o dziwo — w kilka minut po ruszeniu nagonki (pędzącej nawet w kierunku owej strzelnicy), pokazał mi się i stanął na kilkadziesiąt kroków odemnie wprost na „sztych“, spory dzik.

Spostrzegłszy jednak moją manipulację przy zmianie naboju śrutowego na kulowy, nie był głupi czekać, lecz zawrócił w miot i wyszedł później na inne, odległe stanowisko, gdzie padł od kuli p. J.

W międzyczasie między mną a sąsiadem z lewej, wypadł sznur dzików, prowadzonych przez dużą lochę, za którą szły dwa małe warchlaki, a za niemi wycinki. Strzeliłem do drugiego z nich kulą Breneckego. Lecz niestety — ani dzika, ani też kuli nie odnalazłem.

W lutym 1925 r. polowaliśmy na otropione dziki w sąsiednim od poprzedniego rewirze w P. Po dwu bezskutecznych strzałach moich sąsiadów do bardzo dużego odyńca, wychodzi on na mnie i pada w ogniu od kuli Winchestra, kalibru 401.

Byłem przy jego obielaniu. Mój pocisk winchestrowy ugodził go w kolicę obojczyka i rozprysnął się w trzewiach jak rtęć, na setki drobniejszych i większych cząstek, dosięgając wątroby i t. p. miejsc odległych.

Pod skórą na karku od strony lewej tkwiło kilkanaście śrucin kalibru 6, dawno i twardo zarośniętych.

Pomiędzy skórą a żebrami po stronie lewej, wśród otorbionej serowato łojowatej białawo żółtawej masy, tkwiła wojłokowa przybitka naboju Breneckego (kula prawdopodobnie wskutek ocierania się dzika o drzewa przez otwór w skórze wypadła wkrótce).

Z wyniku tej autopsji t. j. ze znalezienia w dziku tych pocisków, któremi pierwsze dwa razy nieszkodliwie strzelałem — i to od strony lewej — dalej z kolejności strzałów do coraz większych dzików — a w końcu, że wszystkie trzy razem strzelałem w jednej i tej samej okolicy w sąsiadujących ze sobą niewielkich rewirach, po których stale jedne i te same dziki się włóczą, — przychodzę do wniosku, a względnie do pewności, że wszystkie trzy razy strzelałem do jednego tego samego, a to pierwszy raz śrutem, gdy był jeszcze warchlakiem, drugi raz kulą Breneckego, gdy był wycinkiem, aż wreszcie położyłem kres jego bohaterskiemu życiu z Winchestra — gdy był już poważnym odyńcem.

Dr. H. Malsburg.

* * *

Austrjacko-Polska Izba handlowa we Wiedniu pismem z dnia 30. lipca, L. 10.356/27/sm. zwróciła się do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego o podanie jej osób z kół ziemiańskich, mogących dostarczyć dziczyznę dla celów hodowlanych.

Ewentualne oferty i zgłoszenia, należy kierować wprost do Izby Handlowej we Wiedniu III. Ditscheinergasse 2 (Inwalidenstrasse 9).

* * *

Nieznana u nas gałęź przemysłu

Spółdzielnia Rolniczo Handlowa w Łukowie, Województwo Lubelskie, posiada sposób wyprawiania i barwienia skór zwierząt futerkowych, systemem lipskim.

Kto pragnie obznajomić się z tym fachem, może mieć przesłane za zwrotem kosztu, przepisy i recepty, zwracając się listownie do powyższej Spółdzielni.

* * *

Starostwo w Sokalu dnia 17. sierpnia L. 23912 podaje do wiadomości o odbyć się mającej d. 12. września b. r. w biurach Starostwa, publicznej sprzedaży łomu około 150 kg, pochodzącego z 39 sztuk broni myśliwskiej.

Album z Wystawy Łowieckiej

Zakład introligatorski Kazim. Witski, Lwów, ul. Pańska l. 11 a. prosi nas o ogłoszenie, że posiada kilka gotowych albumów zwyż 80 fotografiami z Wystawy Łowieckiej w wytwornych okładkach. Cena 200 lub 250 zł.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Marjan Antoniewicz 10 zł, Stanisław Cieński 50 zł, Jan Wacław Smutny 10 zł, Jerzy Myczkowski 10 zł, Ks. Bronisław Świeykowski 10 zł.

Od Administracji!

Do Pp. Członków zalegających z wkładkami zwracamy się, przypominając, że wkładka członkowska od 1. lipca 1927 r. wynosi kwartalnie 7·50 zł.

Tym Członkom, którzy nie nadeślą zaległości wcześniejszych i za bieżący rok, wstrzymamy bezwarunkowo dalszą wysyłkę „Łowca“.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej", Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.
Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.